

Znakomity psycholog amerykański Philip Zimbardo, znany z wielu eksperymentów i też w przedmiocie zachowań człowieka ukuł onegdaj – na kanwie jednego ze swych eksperymentów – teorię nazywaną efektem Lucyfera. Otóż Lucyfer, jako ukochany anioł Boga został za karę, za bunt, za sprzeciw przeciwko Absolutowi strącony w otchłanie piekielne. W tym wypadku widzimy właśnie, że to dobry i miłosierny Bóg tworzy coś tak ohydneho, obrzydliwego i straszego jak piekło. Lecz przemiana anioła – tego najważniejszego i najukochańszego Bogu – w diabła to w kulturze najdalej i najdramatyczniej idąca ewolucja postawy, myślenia, opisu świata. Z psychologiczno-filozoficznego punktu widzenia interesującym jest zawsze jak przebiega ów proces i jakie to są przyczyny sprawiające, że normalni, zwykli, szarzy na co dzień obywatele w określonych warunkach stają się bestiami, krwiożerczymi demonami i sadystycznymi zwyrodnialcami. Dla Zimbardo efekt Lucyfera „to metafora opisująca transformację ludzkiego charakteru” . Dodać należy: transformacja zależna od okoliczności, ideologii, religii, przekonań politycznych itd. Wartości wyznawane przez człowieka ulegają ukryciu, stłumieniu, umykają w cień utylitaryzmu i korzyści (rzeczywistych bądź wyimaginowanych).

*Jakież to miasto wierne stało się nierządnicą ?*

### **Księga IZAJASZA (1, 21)**

Podobny dylemat trawi Dennisa Hoopera, reżysera obrazu **Easy Rider** i zarazem odtwórcy jednej z głównych postaci filmu (z fantastycznymi i ponad czasowymi rolami aktorskimi samego Hoopera, Fondy i Nicholsona). Dwaj motocykliści, Watt i Billy, podróżują przez południowe stany USA na motocyklach. Im dalej jadą na wschód, od Kalifornii, zagłębiając się w amerykański interior, tym mniej przychylne reakcje spotykają ich ze strony miejscowych ludzi. W końcu na jednym z biwaków zostają zabici przez solidnych, poczciwych i porządných obywateli. Normalny świat amerykańskiej (ale czy tylko amerykańskiej ?) głuszy nie tolerując **Innego**, jakichś podejrzaných wagabundów i przybłędów (w każdym wymiarze:

przede wszystkim kulturowym, intelektualnym, egzystencjalnym, estetycznym) burzących „święty spokój” i lokalne, do bólu przewidywalne „ciepełko”: lokalne, gminne, regionalne, narodowe, rasowe, religijno-wspólnotowe. Zachowania „szacownych obywateli” na problem **Inności** i niestandardowych sytuacji – wykraczających poza schemat utartych i przyjętych norm, konwenansów czy układów – ukazane przez Hoopera są również bliskie syndromowi Lucyfera, sformułowanemu przez Zimbardo (choć film powstał w 1969 roku, w okresie burzliwego lata amerykańskiego, niesie po dziś dzień olbrzymi ładunek humanizmu, wątpliwości związanych z tzw. „normalnością” i codziennością, dylematów moralnych i współcześnie cywilizacyjnych). Naszego, racjonalistycznego środowiska też ów syndrom nie omija, choć powinien.

**Inny** bowiem burzy porządek, przyzwyczajenia, święty spokój, zakłóca oazę bez-refleksji i pytań o podstawy egzystencji osoby ludzkiej. **Inny** zaskakuje, rozdrażnia, zmusza do intelektualnego wysiłku, a to nie każdy lubi, nie każdy jest nań przygotowany. Zwłaszcza ci stateczni, uporządkowani do granic (często absurdu) **bourgeois**: szacowni obywatele płacący regularnie podatki, chodzący regularnie do kościoła (to symbol sakralizacji rzeczywistości pod jakąkolwiek postacią), uprawiający regularny i cnotliwy (czyli: małżeński *vel* prokreacyjny) seks i oczekujący właśnie tego „świętego spokoju” (zwłaszcza intelektualnego).

Analogiczne rozważania w swej rudymen tarnej istocie snuła Hannah Arendt nad „banalnością zła” relacjonując – i obserwując naocznie – proces zbrodniarza z Auschwitz, Adolfa Eichmanna w Jerozolimie (Izrael – 1963) .

Nie to skłania jednak do snucia tych akurat przemyśleń i refleksji. Przede wszystkim inspirują mnie tezy środowisk religijnych i mistycznych w naszym kraju, iż Polacy są „spolegliwym” i nie krwiożerczym narodem, nie sięgającym po terrorizm czy masowe ludobójstwo. Warto tylko przypomnieć datę 16.12.1922 – i zamach (skuteczny) na I Prezydenta II RP

Gabriela Narutowicza. Co by nie mówić i nie sądzić o tym dramatycznym wydarzeniu należy jasno stwierdzić, iż atmosfera, klimat i uzasadnienia medialne wiodące ku tak drastycznym zachowaniom, człowieka w końcu wykształconego, bywałego w świecie, członka bądź co bądź „*elity kulturalnej*” (dziś byśmy rzekli – **mainstreamu**) – Eligiusza Niewiadomskiego – były wiodącymi przyczynami skłaniającymi go do tej **lucyferiańskiej** reakcji.

Postać Eligiusza N. może więc świadczyć z jednej strony o realności i istnieniu tego co zwiemy efektem Lucyfera (przełożenie warunków i sytuacji na zachowania personalne), z drugiej, przeczy jawnie tezom o „*bogobojskości*” Polaków i ich wstręcie do przemocy. Religijnie rozpalone namiętności zawsze przynosiły w historii gorzkie owoce. A takim językiem przemawiała i przemawia po dziś dzień polska prawica – nie tylko polityczna, ale i tradycjonalistycznie nastawiona część społeczeństwa polskiego, podpierająca się zawsze argumentacją z gatunku klerykalizmu politycznego i antysemityzmu, idealizująca społeczeństwo żyjące nad Wisłą, Odrą i Bugiem, mówiąc stale o narodzie zakreślonym w ramach religijno-rasowo-klanowych, reprezentującym jednorodnie brzmiące imponderabilia i niosącym ze sobą wyraźne przesłanie antymodernistyczne, anty-oświeceniowe.

Owa nie-krwiożerczość Polaków jako narodu bogobojsnego (religia miłości i szacunku dla człowieczej godności to synonimy w tradycyjnym obiegu katolicyzmu) i wielbiącego Maryję, Matkę Boga nie jest oparta na żadnych racjonalnych i empirycznych przesłankach. To kolejny mit wzmacniający dobre samopoczucie, samouwielbienie, nośnik idei mistycyzmu narodowego i towiańszczyzny, a także religijno-przaśny element narcyzmu skierowanego do brutalnych, dyszących rządzą przemocy (wobec Polski jako Chrystusa narodów) innowierczych sąsiadów naszego kraju.

Wydarzenia z Zachęty w grudniu roku 1922 pokazują również jak fanatyzm, nienawiść i religijne obsesje współgrają z

terroryzmem i morderczymi (koniec końcem) skłonnościami osób o takich inklinacjach i skłonnościach. Często ukrytych głęboko w zakamarkach człowieczej osobowości.

Religia miłości jak od dwudziestu wieków prezentuje się chrześcijaństwo, wpajając ludzkości swoją wielkość i szczytność ideałów (za którymi mają iść: humanizacja stosunków interpersonalnych, szacunek dla godność drugiej osoby, chwała Boga poprzez chwałę człowieka gdyż to „... *bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał*” celem zbawienia człowieka, **nota bene** z miłości czyniąc przy tym ofiarę ze swego syna zrealizowaną w sposób nader okrutny i dehumanizujący osobę ludzką) też nie jest wolna od syndromu Lucyfera. Historia pokazała to dobitnie i wielokrotnie: zresztą jak wszystkie religie i wierzenia, ideologie i doktryny podpierające się najbardziej szczytnymi hasłami.

Znakomitymi przykładami na to **dictum** jest twórczość Bartolomeo de las Casasa czy Bernardino de Sahaguna prezentujących podbój Ameryk przez arcychrześcijańskich Hiszpanów. Dysputa w Valladolid (lato 1550) i wnioski oraz decyzje podjęte w jej wyniku są tu także przykładem na dwoistość nauki katolickiej, w każdej epoce historycznej (nauka o miłości sąsiaduje zawsze z elementami przychylnymi efektowi Lucyfera); de las Casas, który bronił Indian przed tezami Juana Ginesa de Sepulvedy, nadwornego ideologa korony hiszpańskiej, wziętego filozofa i teologa (twierdził on, że Indianie nie posiadają duszy i dlatego nie przysługuje im miano człowieczeństwa, stoją na etapie niższym kulturowo niżli chrześcijanie i muszą podlegać ewangelizacji, a ich kulturę należy wykorzenić), elementów człowieczeństwa nie znajdował w .... osobach czarnych niewolników sprowadzanych masowo z Afryki do pracy na plantacjach Nowego Świata.

Przygotowania – dziś: medialne, wczoraj i przed wczoraj; w postaci kazań, nauk i obyczajów religijnych, rytów i kulturowych obrzędów – świadomości społecznej do tego co Zimbardo zwie efektem Lucyfera są nie mniej ważne niżli sam

akt przemiany anioła w diabła. **Innego** pozbawia się w tym procesie godności, odczłowiecza, dehumanizuje, przedstawia jako rasę podłą, gorszą, kulturowo nijaką i uznaje za materiał do nawrócenia (czyli coś o podlejszej kondycji jeśli jest potrzeba wykorzenienia go z jego jestestwa, z jego wartości, z jego oglądu świata). Przy okazji przypisuje się **Innemu** wszystkie nieszczęścia jakie spadają na naszą wspólnotę, na naszą społeczność, na nasz naród (gdy jest jeszcze on uznawany za naród wybrany te nieszczęścia, katastrofy i niepowodzenia są tym samym sprzeciwem przeciwko naszemu Bogu czyli świętokradztwem, herezją, obrazą i próbą zburzenia porządku społeczno-moralnego). Urobionej opinii publicznej taki obraz **Innego** daje podstawy dla traktowania go jako nie-człowieka, jako **unter-menscha** , zmorę naszej cywilizacji, coś groźnego i zagrażającego naszemu jestestwu. Można więc go uciszyć, pastwić się nad nim, w końcu – mordować, aby oczyścić naszą przestrzeń życiową z Inności. Tak aby stawała się czystą, homogeniczną, jednorodną. Przewidywalną. Opis takiego świata i takiej rzeczywistości jest zawsze łatwiejszy, sympatyczny, „wsobny” i bogobojny.

Idealny, wzorcowy model istoty wykluczonej przedstawia pojęcie **homo sacer**. To wykluczenie – jak zapewnia Zygmunt Bauman – w wymiarze prawnym, socjalnym, psychologicznym (choć traktowane nie w wymiarze religijno-ofiarnym). W tradycji antycznej życie **homo sacer** było pozbawione wartości, zarówno z ludzkiego jak i boskiego punktu widzenia. Można go było zabić, bezkarnie, w imieniu całej wspólnoty, ale nie można go było – ze względów nieczystości, wykluczenia i pozbawienia godności (w owym czasie była to desakralizacja osoby) – złożyć w ofierze . Ten stan mentalności (będący wynikiem określonych i opisanych działań) oraz stosunek do człowieka-odrzuca przygotowuje to co nazywamy efektem Lucyfera. Geneza tkwi po części w wierzeniach religijnych.

Przykłady z dziejów kultury Zachodu (choć nasza cywilizacja nie jest tu wyjątkiem) można mnożyć. Chrześcijaństwo jako

wielowiekowy demiurg tej kultury ma tu przepotężne zasługi (wątpliwej jakości) na tym polu. Przygotowania świadomości ludzkiej do zaistnienia efektu Lucyfera mogą trwać przez lata i dekady, nawet – wieki. I w pewnym momencie następuje owa przemiana. I wszyscy – no, może prawie wszyscy – są bardzo zdziwieni.

Wierzenia religijne są niebywale trwałym nośnikiem elementów przygotowujących nadejście opisywanego syndromu, w zupełnie innych warunkach, w zupełnie nieoczekiwanej chwili, w diametralnie różnej wydawałoby się sytuacji. One poprzez sakralizację przeszłości i jej mistyfikację zaszczepiają w wiernych niechęć i dystans do ewolucji jako procesu immanentnego człowieczeństwu – ewolucji wszystkiego, przede wszystkim poglądów, zachowań, obyczajów i idei. **A propos** – chrześcijaństwo (w swej obrzędowości, liturgii, języku i symbolice) niesie w sobie elementy – jak każde wierzenie będące tworem synkretycznym (czyli żywym i ewolucyjnym) – pradawnych kultur z elementami przemocy, agresji, krwiożerczości etc. – np. pozostałości po antropofagii czy krwawych, religijnie uzasadnionych, ofiarach z ludzi. Ono tę pamięć interioryzuje, zachowuje, konserwuje i przenosi w echu naszej ludzkiej historii. Choć wielu wiernych uczestniczących w chrześcijańskich obrzędach nie zdaje sobie na co dzień z tego sprawy.

Fiodor Dostojewski napisał słynne zdanie: *„Jeżeli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone„*. Wykorzystywane jest ono dziś przez konserwatystów i tradycjonalistów różnej maści do krytyki nowoczesności jakoby desakralizacja rzeczywistości prowadziła nas ku *„upadkowi moralnemu”* ludzkości. To twierdzenie jest z gruntu, niedorzeczne, przewrotne, mami świadomość i zaciemnia obraz współczesnego świata: jest po prostu głupie, chociaż całkiem możliwe, że jest uczciwym wyznaniem wiary. Bo nie trzeba odwracać zdania Dostojewskiego do góry nogami, czyli twierdzić, że jeśli Bóg jest, to jest dozwolone co jest miłe naszemu Bogu. Historia chrześcijaństwa

i innych wierzeń religijnych pełna jest agresji, przemocy, bestialstwa, ludobójstwa dokonywanych z Bogiem na ustach i sztandarach. Wcześniej te działania były zawsze pracowicie uzasadniane teoretycznie, ideowo, doktrynalnie i religijnie.

Dokonywana powszechnie krytyka współczesności z pozycji religijnego konserwatyzmu to w zasadzie atak na modernizm i postęp. Ten aspekt zawiera się w stwierdzeniu Francois Fureta, iż przyczyną totalitarnych ideologii nowoczesnego świata (a w zasadzie ich praktyk) jest trudność własnej, nowoczesnej, autonomii (oraz wolność w tworzeniu nowego) sprawiana podmiotowi (czyli jednostce). Dzieje się tak zdaniem francuskiego myśliciela zarówno w wymiarze personalnym jak i zbiorowym. Podobnie uważa Chantal Delsol krytykując XXI-wieczne rozchwianie ideowe i postmodernistyczny chaos, widząc w nich efekt modernistycznego projektu odejścia „od Boga”, de-sekularyzacji i laicyzacji nowoczesnej rzeczywistości. Nie widzą owi krytycy współczesności, że syndrom Lucyfera o którym piszą w różnych kontekstach i w różnych płaszczyznach najczęściej przygotowywany był i został powoływany do życia (początkowo w stanie hibernacji) w wychwalanych, starych, dobrych, bogobojnych i złotych zdawałoby się, dawno minionych, czasach.

Mimo wszystko taka postawa intelektualna, takie rozumienie procesów trawiących współczesny świat, jest przykładem anty-ewolucjonizmu, statyki myśli i bezruchu idei. To model średniowiecznej kultury zastygłej w wyniosłości katedr i kościołów, kazaniach duchowieństwa chrześcijańskiego i filozofii tomistycznej. To podświadome wołanie o ciszę, boską harmonię i pokój – według katolickiej nauki. Homogeniczność kultury w skali makro i mikro. Wtedy człowiek był przez Autorytety – wiadomo jakiej proveniencji – zwolniony z obowiązku współżycia z Obcością, ocierania się o **Inność**, z wysiłku intelektualnego nad ich rozumieniem i pojmowaniem niuansów które niesie ze sobą nowocześnie pojmowana wolność jednostki. Mógł być jak Ferdek Kiepski, Marian Paździoch i

Arnold Boczek. Trzy w jednym. To właśnie dlatego serial **Świat według Kiepskich** cieszy się niespożytą popularnością wśród telewidzów. Polacy odnajdują tam bowiem wizerunek swojej mentalności, swoje widzenie świata, swoją przaśność i złogi „ciemnogrodu”. Czyli to wszystko co właśnie często leży u podstaw efektu Lucyfera: brak wykształcenia, lenistwo intelektualne, uprzedzenia, bezrefleksyjne ukochanie swojskości (**vel** tradycji), nadwiślański mesjanizm, megalomania czy w końcu – fanfaronada. Takie narodowe **deja vu** !

Spostrzeżenia Philipa Zimbardo w przedmiocie efektu Lucyfera są niewątpliwie cenną wskazówką dla komentatorów życia społecznego. Warto jest w kontekście rozważań amerykańskiego psychologa i filozofa popatrzeć zawsze na kontekst społeczny, retorykę i medialny **show** czyniony wokół pewnych idei i pomysłów. Każde wykluczenie, każda stygmatyzacja osoby, grupy osób, zbiorowości kategoryzowanych według rasy, płci, religii czy narodowości, mniejszości seksualnych czy kulturowych, poglądów politycznych, jakiegokolwiek urabianie opinii publicznej przeciwko tak określonym ludziom i próba ukierunkowania gniewu czy nienawiści wobec nich musi prędzej czy później (w formie **soft** lub **hard**) zaowocować zachowaniami opisanymi przez Zimbardo. Historia po wielokroć pokazała te prawidłowości aż nadto.